

KRONIKA LWOWSKA.

(Sprawa pani S. — Instytut przy ul. Ormiańskiej 1. 17. — Fryne i Astarte. — Warunkowa moralność. — W kurytarzu policyi. — Defraudacje podatkowe i zaufanie do władz skarbowych. — Nasza agitacja. — Mięso końskie i królicze. — Do czego dojdziemy. — Lekceważenie bytu zwierząt. — Psia licytacja. — Przewidywanie magistratu. — Policjant członkiem honorowym fachu złodziejskiego. — Wielki zjazd pokanikularny. — Wystawy kupców — Panie opowiadają. — Stosunek w pewnym miejscu. — Oświadczyły na reunionie. — Nagła choroba. — Wyjazd chorego. — List ze Lwowa. — O czym myśleli w wagonie. — Operetka i opera).

Najnowszą i ostatnią sensacją Lwowa jest obecnie aresztowanie pani S. wdowy po urzędniku magistratu, która od dłuższego czasu dla rozpędzenia nudów wdowieństwa i dla pomnożenia dochodów utrzymywała agencję wolnej miłości przy ul. Ormiańskiej 1. 17. Nie pierwsza... i nie ostatnia. Rynek 1. 34 dał początek sensacyom tego rodzaju. Dużo wtedy mówiono i pisano a pani S. wszystko to czytała i robiła swoje, ale o wiele oględniej, delikatniej. Jej agencja, to biuro a nie hotel. Ona tylko pośredniczyła... Piękne złotowłose i czarnobrewie klientki porozumiewały się z agencją przezwaznie listownie, rzadziej ustnie u siebie w domu. A były to damy całą gębą, te z wierzchu, z górnych dziesięciu tysięcy, jednym słowem: lepsze. Ci, bez których niema miłości, choć należą do płci brzydkiej, odwiedzali panią S. w domu, przeglądali albumy i korespondencje, przedstawiali życzenia, robili zamówienia, omawiali bliższe warunki... I szło wszystko, jak po maśle... Bańki mydlane niewieściej cnoty przyskaly w ogniu połyskującego złota, mężom i narzeczonym rosły szybko rogi, Fryne i Astarte rozsady się wygodnie u nowego ołtarza przy ul. Ormiańskiej 1. 17 i rozpustnie uśmiechnięte święciły tryumfy, kąpiąc się w złocie... Lecz klientki nie znały się wzajemnie, nie spotykały się nigdy, nie o sobie nie wiedziały, dzięki czemu nie zdarzyło się ani razu — jak to bywa gdzieindziej — ażeby pani spotkała się z własną pokojówką. U solidnej firmy można być pewnym dyskrecyi. Tak samo w *etablissement* pani S.

Tego rodzaju interes wymaga nawet większej dyskrecyi, aniżeli inny np. bank. Niedyskrecya bowiem mogłaby narazić na szwank najcenniejszy przymiot klientek tej instytucji a mianowicie: „moralność... A „moralna“ kobieta nie uczyni nic, coby mogło jej dobre imię poniżyć w opinii ludzi a więc musi mieć wprzód zapewnioną dyskrecję, jeśli ma np. wejść w kontakt z pensjonatem przebiegłej pani S. przy ulicy Ormiańskiej 17. Takich moralnych kobiet miała pani S. bardzo wiele... Były tam i panny z „lepszych“ domów, były mężatki, żony poważanych mężów, były i dzieci niewinne... A wszystko moralne, wszystko dobrze wychowane, rumieniące się na lada dwuznacznik... Szło gładko...

Tymczasem wmieszała się w ten cały interes policya. Nasza policya jest — jak wiadomo — konserwatywną i nieprzychylnie usposobioną dla wszelkiego postępu. Daremne byłoby tłumaczyć naszej policyi, że instytut pani S. urządzony jest na wzór tego rodzaju agencji paryskich i londyńskich i że jako taki świadczy o postępie Lwowa, który przynajmniej pod tym względem zaczyna przybierać cechy wielkiego miasta. Policya aresztowała panią S. a nawet skonfiskowała jej korespondencję prywatną mocno kompromitującą wiele porządnych, moralnych, poważanych i szanujących się dam z tutejszego towarzystwa. Komisarz Stankiewicz, człek z natury ciekawy, wypytuje klientki agencji miłości o najdrobniejsze szczegóły, a one rumieniąc się opowiadają... Czy wszystko? Prawie...

Teraz dopiero spotykają się wszystkie razem w kurytarzu policyi, teraz spotyka się pani z własną pokojówką, albo przyjaciółką z przyjaciółką, albo córka szefa z żoną podwładnego urzędnika, albo dawne szkolne koleżanki, które już zapomniały o sobie... Góra z górą się nie zjeżdżie, ale dwie koleżanki czasem. i to gdzie...

A winna temu policya, która co prawda prowadzi śledztwo w najściślejszej dyskrecyi w interesie rodzin... Na szczęście... Zainteresowanie w mieście ogromne. Mężowie odruchowo, mimowolnie macają się po łysinach szukając rogów, ojcowie zaglądają córkom badawczo w oczeta, jakaś nieufność ogarnia wszystkich... Tak lepiej...

O wiele lepiej byłoby, gdyby i nasze władze skarbowe ogarnęły większą nieufność do swoich organów podwładnych. Taki szef skarbowy więcej ufa egzekutorowi podatkowemu, aniżeli najlojalniejszemu podatnikowi. Kto wie, ile w tej chwili pieniędzy brakuje w naszych kasach podatkowych a dowiemy się o tem po latach. Defraudacje Dudzińskiego, dokonywane systematycznie przez cały szereg lat, budzą niewątpliwie wiele zaufania do naszych władz skarbowych. A ten sam Dudziński

z bezwzględnością opryszka ściągał z nędzarza ostatni surdut za podatki, czasem nawet jeszcze przed terminem płatności... Dlatego władze skarbowe cieszą się wielkim a zasłużonym mirem wśród najszerzych warstw a ludn się zwraca się do nich z ufnością w słusznym przekonaniu, że władze skarbowe pamiętają dobrze o każdym jej cencie ostatnim.

Z jakim zaś zaufaniem i miłością zwracamy się do naszej magistratury gminnej świadczy ostatnia gorąca agitacja za wprowadzeniem w handel końskiego i króliczego mięsa. Ażeby magistratowi nie robić kłopotu z wyszukiwaniem środków zaradczych mających zapobiedz drożyznie, ażeby prezydent nie zmuszać do dotrzymania danego przyrzeczenia, agitujemy teraz całą forszą za rozpowszechnieniem mięsa z królików i koni.

Wszystko to chętnie jeść będziemy, byleby nie sprawiać kłopotu magistratowi i p. Michalskiemu. Co prawda nie łatwo to może pójdzie, bo na samą myśl o końskiej pieczeni aż ciarki przechodzą lwowskiego gastronomu, ale czegoby człowiek nie zrobił dla ojczyzny? Jest zresztą poważna nadzieja, że za lat kilka podróżeje mięso z królików i koni, ankietą drożyzniarską znów powstanie i zaśnie a my agitować będziemy za wprowadzeniem mięsa z kotów, psów, myszy i szczurów, byleby panu Michalskiemu ułatwić trudne zadanie przydywania miastu.

Rzeźnicy lwowscy przysłuchują się agitacji króliczo-końskiej i pękają ze śmiechu. Wszak oni bez agitacji, ale owszem całkiem cicho wprowadzili w handel i to lwowianom smakuje doskonale. A p. Michalski powiada sobie zapewne, że niema to, jak być prezydentem Lwowa.

Zanim jednak przyzwyczajamy się do spożywania mięsa ze wszystkich bez wyjątku zwierząt domowych nie znamy jeszcze wartości tych stworzeń i lekceważymy sobie ich byt. Magistrat pobiera — jak wiadomo — prdatek od psów. Właściciele psów — jak wiadomo — niechętnie ten podatek opłacają. Magistrat — jak wiadomo — jest w ściągnięciu tego podatku tak niedołężnym, że ani połowa psów nie opłaca podatku. Polecono tedy rakarzowi miejskiemu wyłapać wszystkie nieopodatkowane psy i sp. zedać je w drodze licytacji.

Kilkadziesiąt dezertów podatkowych psiego rodu poszło na będen a magistrat uzyskał z tej licytacji ładną sumkę. Zastanawiają się obecnie w magistracie lwowskim nad tem, czy nie dałoby się tak urządzić z podatnikami nie chcącymi opłacać podatków gminnych. Pytanie tylko, czy znajdzie się na nich kupiec. Temat do rozstrząsania dla galicyjskich myślicieli... Znamiennym jednak objawem jest, że magistrat lwowski polecił psy zachować i sprzedać a nie zabijać. Uczynił to w proczem przewidywaniu, że wkrótce zajdzie potrzeba wprowadzenia w handel psiego mięsa... Obywatele, szanujcie psy wasze...

Sensacją było także aresztowanie... policyanta złodzieja. Lwowscy złodzieje nie posiadają się z radości. Kolegi z półksiężycem dotąd nie mieli. Po wypuszczeniu policyanta z kryminału mają go lwowscy złodzieje zamianować członkiem honorowym swego cechu i urządzić z tej okazji bankiet. Na razie siedzi...

Tymczasem kanikuła ustąpiła nareszcie kompletnie. Letnicy obładowani tobołami wracają z dworca, jak na jakiś wielki zjazd, umundurowani studenci rozsypali się po całym mieście, kupcy wystawili sezonowe nowości zeszłoroczne, w kawiarniach, restauracjach i mleczarniach zaroiło się, słomiani wdowcy powoli przyzwyczajają się do życia rodzinnego. Nasze piękne panie mają dużo, dużo do opowiadania...

Ale bo też nie próżnowało się na świeżem powietrzu...

Jeden z tutejszych lowelasów nawiązał w pewnym miejscu kąpielowem w zachodniej Galicyi bliższą znajomość z niebardzo zamożną, ale bardzo dystygnowaną rodziną z Królestwa. Zwłaszcza córeczka owej rodziny, piękna panna Hala ogromnie przypadła do gustu lwowskiemu lowelasowi. Ale i młoda panienka o ognistym temperamentie węgielki nie została obojętną. I owszem... Dawała mu nawet niejednokrotnie do zrozumienia, że i ona i rodzice nie mieliby nic przeciw temu, gdyby on tak próbował rozpocząć kampanię o drobniutką raczkę Hali. Gdy i rodzice raz przy kolacyi dali mu tosam do zrozumienia — zrozumiał... Ale zwlekał. Było to na samym początku pobytu. Częste wycieczki i reuniony, festyny i spacerzy zacieśniły tak mocno węzeł, że elegancki pan komisarz raz w tańcu podczas sobotniego reunionu szepnął Halusi do różowego uszka:

— O, tańcz ze mną do końca życia...

Nie przytem złego nie myślał... Inaczej to jednak zrozumiała prześliczna Hala. Zaraz zakomunikowała rodzicom, że komisarz właśnie oświadczył się. Podczas paury całe towarzystwo przechadzało się w werandzie a rodzice Hali wzięli p. komisarza pomiędzy siebie i bez ogródek i płytkich sentymentów powiedzieli mu, że wiedzą już o wszystkim i cieszą się z tego bardzo, przyczem odrazu udzielili mu błogosławieństwa. Pan komisarz był trochę zmieszany, podobno ze wzruszenia, ale kordyalnie ucałował ręce matce i ojcu. W jednej chwili gruchnęła wieść po całej sali i wszystko składało gorące życzenia i gratulacje wracającemu z werandy towarzystwu. Jakaś ogromna radość biła z twarzy członków całej rodziny a tylko p. komisarz był nieco wzruszony, czy nawet zakłopotany. Tańczono jeszcze długo, a starzy omówili już nawet bliższe szczegóły zrzekowin i ślubu. W całej sali mówiono o szczęściu.

Nazajutrz p. komisarz zachorował obłożnie, choć dość lekko a panna Hala z rodzicami zjawili się u łóża chorego narzeczonego. Posłano po lekarza, który skonałował zapalenie opon mózgowych, drugi lekarz przyjął tyfus brzuszny, trzeci udowodnił jak na dłoni, że to tyfus plamisty a na wspólnem konsylium uchwalono leczyć go na katar żołądka, aż choroba nie wykaże wyraźnych znamion. Gdy następnego dnia rano zjawili się znów rodzice z panną Halą w pokoju ciężko chorego, pacjenta już nie było. Proszę się nie przerażać... nie umarł... Wyjechał nagle... Naturalnie, że i lekarze go nie zastali. Ot, zagadka. wracają więc strapieni rodzice do domu i znajdują list, który dopiero co doręczył listonosz. List ze Lwowa. Kobięcy charakter pisma... Rozdarto kopertę i trzy głowy — jedna młoda i dwie stare — pochyliły się nad papierem. Czytają... „Szanowny Panie! Dowiaduję się w tej chwili z listu mojej przyjaciółki, że zaręczyliście państwo córeczkę z moim — mężem, panem X. Y. agentem asekuracyjnym ze Lwowa“... Dalej już nie czytały panie. Stary sam doczytał do końca, ale nic więcej tego dnia nie mówiono. Następnego dnia wyjechała cała rodzina. W wagonie kolejowym jeszcze ciągle milczeli przeżywając wrażenia, ale myśleli. Stary dał słowo, że do Galicyi z córką więcej nie pojedzie „póki życia mego“, stara żałowała, że nie mogła bodaj przez kilka dni być teściową pana komisarza a córka... Panna Hala robiła w myśli bilans... całusów. Bilans był wcale korzystny... Otrzymała więcej... a bądź co bądź był to przystojny chłopiec...

Milczą o tem kroniki, jak się zakończyła ta historia dla niefortunnego komisarza.

Razem z nowym sezonem wróciła do nas rozśpiewana operetka i rozwarły się bramy teatru przed wielkim sezonem operowym, o którym się już tyle słyszało. Cały szereg nowych śpiewaczek i śpiewaków zaangażowała dyrekcyja na nowy sezon i ogłoszono bardzo interesujący repertuar operowy.

Natomiast o dramacie nie nie słychać a zdaje się, że dramat pójdzie w odstawkę, ażeby się przypomnieć na lato. Amatorowie muzyki zacierają ręce, zwolennicy dramatu mają kwaśne miny. Kł.

Kącik humorystyczny.

Przyjacielska usługa.

- Fifinka dziś bez matki?
- Pożyczyłam ją koleżance Lulusi!

Nasi żebracy.

- Czy wam nie wstyd! Taki zdrowy, silny chłop prosi o wsparcie.
- Niech to raczej gospodarz się wstydi tu ze mną w taką rozmowę długą się wdąć! Proszę nieco dać i pójść swoją drogą i nie przeszkadzać mi w jenteresie!

W kantorze sług.

- Doktor: Poszukuję dobrej mamki.
- Pisarz: Dla kogo, jeżeli wolno zapytać?
- Tym razem dla siebie!

Uprzejmy.

- Służąca: A do kogo młody pan sobie życzy?
- Student: Ja? Do nikogo? Ale że tu napisane: „uprasza się mocno zadzwonić“, więc taką drobną grzeczność mogłem pannie wyświadczyć.

Wygadał się.

- Czy pan wcale nie palisz?
- Doktor mi zabronił.
- Czemu?
- Bo się franki tak smolą!